

*Peterowi, mojemu Mężowi –
Miłości życia, Życiu tej miłości.*

Malina

Malina Stahre-Godycka

Jest jak jest

*Prawdziwa opowieść o nadziei,
przyjaźni i stracie*



Flos Carmeli

Poznań 2020

© Copyright by Elisabeth Stahre-Godycka
© Copyright for the Polish edition by FLOS CARMELI
& Elisabeth Stahre-Godycka
Wydane zgodnie z umową z Nilsson Literary Agency,
Szwecja.

Tytuł oryginału *Det är som det är. En berättelse om tillit*, Libris 2011

Wydanie II

W pierwszym polskim wydaniu książka nosiła tytuł:
Dwie kobiety – jedna nadzieja

Redakcja Wojciech Ciak OCD

Korekta Zofia Błajek

Wydawca FLOS CARMELI Sp. z o.o.
Wydawnictwo Warszawskiej Prowincji
Karmelitów Bosych
ul. Działowa 25, 61-747 Poznań
tel.: 61 856 08 34
e-mail: wydawnictwo@floscarmeli.pl
www.floscarmeli.pl

ISBN 978-83-66504-27-1

WSTĘP

DO WYDANIA POLSKIEGO

Drogi Czytelniku,

Jest jak jest to autentyczna historia. Główną postacią jest tu Prudencja, moja polska przyjaciółka. Ta opowieść traktuje o naznaczonych chorobą ostatnich trzech latach jej życia: 2002-2004.

Prudencja dzieli się swoim człowieczeństwem w niepowtarzalny sposób. A w szczególności swą wewnętrzną postawą, która pozwala jej żyć i umierać w nadziei, MIMO IŻ NIC nie dzieje się tak, jak Prudencja tego oczekuje (jakże często tracimy grunt pod nogami, gdy nasze plany zawodzą...).

Dlatego dla nas wszystkich, szukających podobnej siły i nadziei we własnym życiu – zetknięcie się z jej osobą i podejściem do rzeczywistości jest bezcenne.

Dopuszczając nas do świata swojej choroby i cierpienia, Prudencja dzieli się doświadczeniem, które może okazać się pomocne nie tylko dla ludzi chorych i tych, którzy są z nimi i przy nich, ale dla każdego z nas.

PROLOG

Oblało mnie gorąco. Uczucie podobne do lęku trwało ułamek sekundy – ale pamiętam je jak dziś. Czyżbym miała przecucie?

Pamiętam też każde słowo nagrane na sekretarce: „Dzień dobry! To ja! Ewa powiedziała mi, że mieszkasz tu, na południu, i dała mi twój numer telefonu. Tak by było miło odnowić kontakt! Zadzwoń. Pa...”. To była ona. Natychmiast poznałam jej charakterystyczny alt.

Pamiętam też, że zwlekałam z odpowiedzią. Nie dzień czy dwa, ale więcej niż miesiąc. Prosta odpowiedź: „a to miła niespodzianka! Kiedy się zobaczymy?!” – nie była prosta.

Zobaczymy się – i co dalej? Zastanawiałam się. Czy potrafię przyjąć ją do mojego życia? Zaangażować się w jej? Nie mogłam oprzeć się uczuciu, że chodzi tu o coś więcej niż niezobowiązujący kontakt. Tymczasem praca nad moją książką *Nigdy nie rodzi się byle kto* pochłaniała coraz więcej czasu. A do tego rodzina, przyjaciele, masa spraw. Nawet „stojących miejsc” nie było w mojej codzienności, a tymczasem nagle trzeba było „dostawić krzesło”. Właśnie tak.

Chodziło o to, żebym mogła jej powiedzieć: „witaj w moim życiu”, a sobie: „wyjdź jej na spotkanie”. Co miałyby to potem oznaczać dla nas obu w praktyce – przeszło moje najśmielsze wyobrażenia. Nasze

spotkanie ponad dwadzieścia lat temu – było równie nie do przewidzenia.

Zbliżała się Wielkanoc...

– To ty też tutaj?! W Sztokholmie?! – wykrzyknęłam na jej widok. Patrzyłyśmy na siebie osłupiałe z wrażenia.

Szybka chaotyczna rozmowa odślaniała nam koleje naszych losów. Prawie równocześnie wyjechałyśmy z PRL. Obie odbyłyśmy siedmioletnią „pielgrzymkę” po Europie, a raczej bieg z przeszkodami. Dzieliłyśmy bliźniacze doświadczenia. Mimo iż nic nie wiedziałyśmy o naszych „zagranicznych” zmaganiach, szłyśmy podobnymi drogami.

A teraz znalazłyśmy się obie w Sztokholmie. Spotkanie było przeradosne.

Odnajdując się nawzajem, odnajdywałyśmy tę najlepszą część naszego polskiego życia, bez której tyle lat trzeba było się obyć. Życia w kręgu tych samych wartości i tradycji. Pełnego walki „przeciwko” i o „słuszną sprawę”... Życia z przyjaciółmi i z wrogami. Z ludźmi, których znałyśmy „od zawsze”. Pamiętających nasze zabawy w piaskownicy. Naszą młodość górną i durną. Z rodzicami, ciotkami i kuzynem babci...

Tymczasem podbój nowego świata był życiem „od nowa”. Bez glorii przodków i ich historii, w której można było grać się bezkarnie. Świata, gdzie nasza własna historia miała dopiero kiełkować, w który wchodziłyśmy jednocześnie...

„Królowe na wygnaniu” – żartował mój przyszły mąż, Peter – „monarcha panujący w swoim królestwie”...

Nasze spotkanie w Szwecji było niezwykle. Osobliwe było też gimnazjum w Polsce, w którym poznałyśmy się sto lat temu. Była to katolicka szkoła w socjalistycznym kraju – ze Mszą każdego ranka, z modlitwą przed i po jedzeniu, z procesjami w welonach.

Z wizytacjami ministerstwa „z Warszawy”, których celem było znalezienie dziury w całym, czyli powodu do szykan...

Z blisko setką uczennic. Każda w granatowym szkolnym fartuchu z białym marynarskim kołnierzem.

Ja sięgałam do nieba na za długich nogach. Ona, malutka blondynka z przedziałkiem na środku, miała warkocze do ziemi. Ja pyskata – byłam w Radzie Internatu. Ona, cicha woda, nie wadziła nikomu. Tylko usidlała spojrzeniem dużych oliwkowych oczu. Spojrzenie czasem sarny, czasem myśliwego – to był jej znak szczególny. Tak zresztą, jak cichy bunt w sercu...

Bunt przeciwko podziałowi zakonnicy na Matki i Siostry, gdzie kryterium stanowiło wykształcenie. Jej idolem była Siostra z kuchni...



Ale teraz przyszedł inny czas... Mój ślub miał być uroczysty z uroczystych.

Monumentalny kościół z dwiema wieżami wznosił się na skałach. Jak wyspa – wynurzał się z miasta u jego stóp. Czerwcowe niebo nad Sztokholmem ubrało się w tęczę i promyki słońca. Goście w długie suknie, fraki i uniformy. Chór zaintonował *Jesus bleibt meine Freude*¹.

Ojciec ujął mnie mocno pod ramię i mrugnął porozumiewawczo... A potem wolno poprowadził mnie po czerwonym dywanie ku ołtarzowi... Ku przyszłości z Piotrem – „dopóki śmierć nas nie rozłączy”. Przyszłości, którą błogosławić miał katolicki ksiądz i protestancki pastor.

Szwedzkim zwyczajem, w ławkach po lewej stronie siedzieli goście ze strony panny młodej. A wśród nich w zielonej sukni – Wysłanniczka z Przeszłości. Gość tak drogi, oczywisty, niespodziewany...

| ¹ *Jesus bleibt meine Freude* (niem.) – Jezus jest moją radością

Na prezent ślubny dostałam od niej srebrną solniczkę wypełnioną solą. Przyprawa jakże niezbędna, jakże niebezpieczna zarazem... Solniczka miała wielkość dużego orzecha i małą łyżeczkę. Dar-symbol ostał się czasom i stoi do dziś w mojej kuchni.

W jakiś czas po naszym ślubie ofiarodawczyni solniczki zniknęła...

A teraz powróciła. Zamieszkała w odległości godziny jazdy samochodem.

A wraz z nią wróciła nasza wspólnota ducha. Po cząwszy od zadumy nad światem, po śmiech do rozpuku. Wspólnota miejsc, ludzi, wydarzeń. I tak narodziło się „Zgromadzenie ku czci i pamięci” oraz „W imię” wszystkiego, co nas łączyło i łączyć nas miało.

Zgromadzenie Sióstr... od Tortu...

Warunki przyjęcia do Zgromadzenia spełnialiśmy tylko my. No i, w odróżnieniu od Sióstr w szkole, obie miałyśmy tę samą rangę...

Ja nazwałam ją „Siostra Prudencja”, bo taka była: roztropna, praktyczna, zebrana.

Ona, obdarzając mnie imieniem „Sapiencja”, powiedziała: „Ty grasz mi okropnie na nerwach, ale pobudzasz do myślenia jak mało kto”.

I tak mlekiem i miodem płynęły nasze wspólne chwile.

Aż kiedyś zadzwonił telefon: „w piątek wieczorem przyjeżdża wuj Florian – usłyszałam głos Prudencji. – Bądź na przystani trochę wcześniej, to nagadamy się, zanim prom przyplynie”.

Jesienne morze piętrzyło się i huczało. Jakby chciało przeciwzyć przed zimowymi sztormami. Prom ze Świnoujścia był spóźniony. W ogromnej, pustkami świecącej poczekalni obejmowały się, płacząc, dwie kobiety.

– Mówiłam ci, że od pewnego czasu męczą mnie bóle. Wczoraj dostałam diagnozę – mam raka.

Rozpoczął się nowy rozdział w historii Zgromadzenia Sióstr od Tortu.

(Misją Prudencji stała się rola „pacjenta”, a mnie przypadło być jedną z tych osób, które stanowiły jej najbliższe otoczenie).

ROK 2002

Dziś ciepło. Jakby lato odmyśliło się i wróciło. Siedzimy z Prudencją w jej ogrodzie.

– Przynosisz masę pożytku, Prudencjo – mówię. – Po prostu zmuszasz mnie, żebym żyła bardziej świadomie tego, jaka jestem, co myślę i co robię. Teraz, kiedy od trzech już lat wisi nade mną twoja śmierć.

– Moja śmierć?! A jak jest z twoją własną?! Prudencję wyraźnie bawi moje wyznanie. – Hm..., właściwie to dobrze – dodaje poważnie... Nawet bardzo dobrze, że mogę ci się na coś przydać. Może innym też... Kto wie, każdy chce być przecież użyteczny – kończy.

Potem, przymykając oczy, odchyła głowę do tyłu. Promienie słońca dosięgają jej twarzy. Przyjaciółka cisza siada z nami na ławeczce. I tak rodzi się myśl, by notować to, co się dzieje podczas naszych spotkań. Dopiero teraz, kiedy minęły już trzy lata choroby.

W życiu Prudencji króluje paradoks. Jest w nim tyle zawierzenia – w beznadziejności. Tyle nadziei w Zawierzeniu. Tyle siły w pozornie bezsilnej kobiecie.

– Bóg wie, co robi. A ja mam takie bogate życie – mówi P.

Wieczorem tego samego dnia

Prudencja miesza mąkę z jajkami i pieśczośliwie przemawia do szarego kota w białych skarpetkach. Nagle wzdycha głęboko – i ni stąd, ni zowąd mówi:

– Przeżyjesz wszystkie swoje tragedie, twoje niepowodzenia i radości, i przy końcu będziesz mógł powiedzieć, że miałeś dobre życie. To Tischner, nie ja.

Siedzimy w przytulnej kuchni, do której przylega willa jak lotniskowiec.

Kuchnia ma czarne belki pod białym sufitem. A ja mam mój własny kąt przy stole pod oknem. Obok „kamionkowej damy” chowającej masło pod szeroką spódnicą.

Prudencja wstawia ciasto do piekarnika i mówi:

– Najwyższy już czas wypuścić nasze dzieci na głębokie wody. – Brzmiało to tak, jak gdyby chciała przekonać i siebie, i mnie. – Musimy zawierzyć – ciągnie dalej – że dadzą sobie radę, że sami odkryją życiowe prawdy. I że będą dokonywać właściwych wyborów...

1 października

Szaleje ulewa. Mijające mnie ciężarówki oślepiają światłami i rozchlustują na boki całe jeziora wody... Tylko świadomość, że do celu już niedaleko – dodaje mi ducha.

Prudencja, jak zwykle, już od progu wita mnie pytaniem:

– Zjesz coś?

A ja, jak zwykle, przystaję. Nie warto odmawiać, bo u P. jeść trzeba i tak.

– Doleję tylko trochę wody do zupy! Moja Mama zawsze tak robiła i musiało wystarczyć dla wszystkich! – mówi. Potem zaczyna nakrywać do stołu. Od czasu do czasu pochyła się, by pogłaskać Pimpusia i szepnąć mu do ucha jakieś czułe słówko.

Ja czytam głośno Tischnera. Kiedy dochodzę do słów: „nawet jakbyś w życiu nie osiągnął niczego, tylko kochał, to osiągnąłeś wszystko” – widzę kątem oka, jak moja przyjaciółka zastyga w miejscu. Szeroko rozwartymi oczyma patrzy w okno, tak jak patrzy się – nie widząc. Jej spojrzenie, którym umie zmrozić albo oczarować, potępić albo uskrzydlić – nagle wędruje w nieznane...

Po chwili P. zabiera się do robienia sałatki. Plastry zielonego ogórka, rzodkiewki, pomidory padają na deskę – jak rycerze na polu bitwy. Oстрыm nożem precyzyjnie, i szybko niby mieczem, P. tnie zielecinę... Moja Joanna d’Arc – myślę, patrząc na jej drobną sylwetkę. Już poprzednim razem, kiedy u niej byłam, zauważyłam, że męczył ją kaszel. Suchy, płytki.

„No cóż, dokuczliwe zaziębienie podstępnie atakujące w jesieni” – pomyślałam.

– To pewnie metastazy – szepcze, zasłaniając usta wypielęgnowaną małą dłonią z eleganckim manikiurem.

3 października

– No i jak ci poszło? – pyta P. silnym głosem. Dzwonię ze Sztokholmu.

– Dobrze poszło – relacjonuję wieczór autorski o *Nigdy nie rodzi się byle kto*. – Paru aktorów czytało urywki z książki, a potem zaczęła się dyskusja. Ludzie zadawali takie głębokie pytania. Właściwie powinni je zadać głównym bohaterom – nie mnie. To oni nauczyli się żyć.

Jakaś kobieta zastanawiała się, jak nie zatruwać sobie samemu życia. Ktoś inny, jak nadać swoim udrękom właściwe proporcje. Potem był Pan Bóg na tapecie. Powiedziałam, że należę do tych ludzi, którzy dopuszczają myśl, że są stworzeni. Że ani nie uważają się za podstawę własnej egzystencji, ani nie są dziełem przypadku.

Podparłam się tym, co kiedyś powiedział mi Kołakowski: „mamy prawo wierzyć, że przypadek nie istnieje”.

– Co ty powiesz! Spotkałaś go? Gdzie? Jak?

Obie z Prudencją byliśmy pod wrażeniem jego drogi życiowej. Filozofa komunisty, który przestał być komunistą. Którego polscy komuniści wyrzucili z Uniwersytetu w Warszawie. Który potem został profesorem w Oxfordzie. Jego dzieła okrążyły świat... A świat przyznał mu jedną ze swych najbardziej prestiżowych nagród: Nagrodę Biblioteki Kongresu USA im. Johna Klugego (milion dolarów amerykańskich). Ale to nie przeszkadzało mu, by mieć czas na korespondencję z „Panią Maliną”, której książka przypadła mu do gustu. No i mogłam mu zawierzyć, że powinienam dalej pisać.

I Prudencji, i mnie imponował fakt, że umiał podzielić się tym, kim był...

– Jak każdego roku, odwiedzał Warszawę. A ja miałam dla niego ze sobą bukiet konwalii.

– Ojj, hmm, prawie czuję ten zapach!! – W słuchawce aż słyszeć było, jakby Prudencja wciągała nosem powietrze.

– Jak on wygląda tak naprawdę?

– Tak jak na okładce *Mini wykładów*. Mnie przypominał moją Babcie. Miał takie same jasne, niebieskie oczy. Tak samo intensywnie słuchał i tak samo pocierał czoło. Tak jak Babcia, trzymał chwilami twarz w obu dłoniach, unosząc policzki do góry. I wy-

glądał wtedy jakby miał skośne oczy. Przeczytałam mu moje opowiadanie *Alice*¹.

– I co powiedział?

– Tylko trzy słowa: „wszystko tu jasne”, a potem...

– Tak mi ciebie brakowało... – przerywa mi Prudencja. – Tak chciałam się z tobą czymś podzielić. Właśnie z tobą. Wczoraj myłam zęby i nagle, wyobraź sobie, dotarło do mnie! Dotarło, że wszystko ma naprawdę swój czas. I życie, i śmierć. Tak naprawdę do-tar-ło – rozumiesz? Choć wiem to od dawna. Ale to nie wystarczyło. Wczoraj dobrze się czułam, dziś znowu mam mdłości. Zadzwoiłam do Doroty i powiedziałam jej, że ją kocham. Miałaś rację, Malina. Ludzie chcą słyszeć takie rzeczy. Nawet, jak wiedzą.

Bo „niema” miłość jest trudna. Oj, trudna...

5 października

– Dzień dobry, Siostrzyczko. Jak się masz dzisiaj? – pytam. Dzwonię w nadziei, że usłyszę: „Ok. Wszystko dobrze”. Właściwie nie chcę słyszeć niczego innego. Spieszę się do swoich spraw. I chcę rozmawiać tylko króciutko... Tymczasem odpowiedź P. wprawia mnie w zakłopotanie...

¹ Zob. M. Stahre-Godycka, *Twarze*, Flos Carmeli, Poznań 2009, s. 115-118.

– Nie za bardzo. Bolał mnie wszystkie mięśnie. Jakby ktoś kłuł mnie tysiącem szpilek. Gunnar mówi, że to ta trucizna – chemioterapia. A moje stawy – szkoda gadać. Leżę...

– A kot koło ciebie? – Pimpus zwykle śpi obok Prudencji. Kocia mama osobiście przyniosła go i położyła pod progiem willi. Jakby w nadziei, iż zapewnia potomstwu jasną przyszłość. I nie omyliła się. Pimpus został wysoko kwalifikowanym kotem onkologiem. Uzdrawiał Prudencję na własny sposób. Wspólnie zresztą z kolegą jeżem, który rankami bywał u niej na śniadaniach.

– Dziś Pimpus spał u mnie w nocy. Ale w nogach. Widocznie moje ciało po chemioterapii ma teraz inny zapach. A w ogóle to mnie trochę unika... Tak zresztą, jak co niektórzy ludzie.

– A co Gunnar na to wszystko? – Gunnar, mąż Prudencji.

– Nic nie mówi. Bo co ma mówić? Jest jak jest.

Znowu usłyszałam ten nienawistny dla mnie zwrot: JEST jak JEST. Bo cóż to innego, jak wyraz słabości i rezygnacji wobec stanu rzeczy. Albo po prostu życiowego gapiostwa. Tylko że, z drugiej strony, był to absurd, by podejrzewać Prudencję o któryś z tych grzechów. Więc trzymałam język za

zębami i myślałam o mojej Matce. Rodzinne kolacje, jadalnia i Mamy gromkie: „Trzeba natychmiast coś zrobić! I to natychmiast!”. Motto obowiązywało zawsze! Bez względu na to, czy były to ciekące rury, choroby czy pułapki czyhające na ducha...

I wydawało się, że niebezpieczeństwa umykały w popłochu na sam widok Matki sztandarów...

Telefon tego samego dnia wieczorem

P. potrzebuje pociechy.

– Dzwonię jeszcze raz do Doroty – mówi podekscytowana – i proszę, żeby przyjechała. Żeby pobyła ze mną. Mówię, że nie musi ani gotować, ani sprzątać. Że poproszę o to kogoś innego. I zgadnij, jak ona zareagowała? Była wściekła! Rozumiesz? Wściekła, że nie chcę jej pomocy. Czuliła się ob-ra-żo-na! A ja teraz takich reakcji nie mogę znieść. Wierz mi. Nie daję rady! Mnie wystarczyłaby sama jej obecność. Tymczasem ona chce być niezastąpiona, nieodzowna... i to we wszystkim!

– A ty możesz całkowicie obejść się bez jej usług – kończę za Prudencję.

– No właśnie! – P. ulżyło, że rozumiem. A ja przemilczam fakt, że czuję tak samo, jak Dorota. Też chcę być ważna. O ile nie ważna, ważniejsza, najważniejsza. Niezastąpiona. Trzymać P. za rękę w szpitalu,

upiec najlepszy placek, wyprać i sprzątnąć... Robić tak, jakby to ona zrobiła, na jej sposób. Gdyby mogła. Tip-top. Chcę przecież ulżyć jej cierpieniom. I swoim?

6 października

– Twój losoś zasmrodził mi całą kuchnię. Ciasto jest za słodkie. A ten szal, co mi kupiłaś, weź z powrotem. Nie mój styl – mówi Prudencja. – I nie musisz ze mną jechać na badania do szpitala. Wlałaś za mało wody do wazonu i źle przycięłaś róże. – P. mówi, co myśli. A nie ma mówić? Chyba tak. Wyraźnie gram jej dziś na nerwach. W drodze do domu nieomal potrącam inny samochód.

– Ty idioto – przeklinam, choć moja wina jest oczywista.

Wszystko się we mnie gotuje. Nagle zdaję sobie sprawę, że nie mogę nadawać się do wszystkiego. I nie muszę! Nadaję się tylko do tego, do czego się nadaję. I tak jest dobrze.

Muszę być sobą na złe i na dobre. I wtedy jestem niezastąpiona. Ale to łatwo powiedzieć...

7 października

– Wyobraź sobie, Malina, spotkałam dziś tego nowego księżulka. A on do mnie w uśmiechach: „Ach, jak pani dobrze wygląda! Pani przecież nie może być

chora!”. Taaaaki dureń, a mądrego udaje! – Prudencja była bardziej ubawiona niż zła.

– Gunnar wie, że może się skończyć moją śmiercią. Ale nic nie mówi. Tylko jest smutny i bardzo schudł. Jest jak jest.

Mówiąc to, Prudencja jakby wydobywa Gunnara na światło dzienne. Świat kręci się przecież wokół niej. Ale co czuje Gunnar? Jakie ma myśli? Jakie noce? Jakie dni? Albo jej syn, Daniel? Pytam o siedemnastolatka.

– On chyba nie bardzo pojmuje, co się dzieje. To normalne. Tu koledzy, tu szkoła, telefon wydzwania, a ja jestem na nogach i gotuję obiady. Wszystko jest jak jest.

Rozmawialiśmy o tym, że znowu czeka mnie chemia, a Daniel mówi: „Dalaś radę pierwszy raz, to dasz i za drugim. Ty jesteś dzielna! Walczysz! Nie dajesz się”.

No a ja próbuję. Wkładam na siebie stalowy gorset. I dopóki ja się trzymam, wszyscy się trzymamy... Taką radość sprawiła mi wczoraj Agnieszka. Dzwoni do mnie i mówi: „ciągle noszę tę broszkę od cioci, bo czuję, że wtedy jestem bliżej, a poza tym...” – wzruszenie nie pozwala Prudencji dokończyć zdania. Dopiero po chwili dodaje.

– Ludzie tak różnie reagują na to, że rak wrócił...

– A jak reagują? – pytam, jakbym pytała o pogodę. Każda rozmowa ma swoje własne „prawa i obowiązki”. Trzeba wyczuć, co jest na miejscu. Kiedy można czemuś zaprzeczyć, coś pochwalić albo zganić. Kiedy mówić, kiedy siedzieć cicho. Kiedy trzeba coś przełknąć. Wszystko po to, by podążać za Prudencją – jak w tańcu, w którym ona prowadzi.

Choć właściwie moja *ambicja przeciwna jest jej życzeniu*, by traktować ją „jak zwykle”.

Jakby była zdrowa. Tego chciałaby. Ale może nie ma na to sił.

– Krystyna napisała w liście, że „wiadomość od ciebie sprawiła, że gruntownie sprzątnęłam cały dom i przekopałam ogród”. Ula obwieściła mi: „mam już dosyć tej twojej choroby. Dosyć się wycierpiałam przez ostatnie trzy lata – nie mogę się więcej tobą przejmować” – ale ona zawsze była egoistką. Rafał chciał się ze mną miejscem zamienić. Taki bałwan. Ciotka Emilia wykrzyczała moją Mamę w zaświatach, żeby mnie tam nie ciągnęła tylko dlatego, że jej nudno.

Prudencja wypogodniała wspominając ciotkę, a potem mówiła z coraz większym ożywieniem.

– Najbardziej rozczuliła mnie Hania, kiedy usłyszałam: „brak mi słów, wszyscy tu o tobie myślimy, modlimy się cały czas!...”. A wuj Florian aż się po-

płakał. „To straszne, powiedział, ty przecież jesteś jak moje dziecko”. No i tak – P. mówi i milknie, jakby „wyszło z niej powietrze”. Po chwili znowu się odzywa. Tym razem mówi cicho, powoli. Słowo po słowie. Jakby chciała się upewnić, że na pewno rozumie.

– Coś ci powiem, droga Sapiencjo. Ja się nie buntuję przeciwko temu, co się dzieje.

A potem tak samo wolno, nieomal szeptem, pyta:

– Myślisz, że to dziwne? – To brzmi jak pytanie retoryczne. A potem, ni stąd ni zowąd, przechodząc na dziarski twardy ton, mówi:

– Słuchaj, gdybym ci zapomniała oddać jakiejś książki, to się o nie upominaj – jak mnie już nie będzie. Dobrze?

– Hm – odmruknęłam. A potem udało mi się wykrztusić niby całkiem obojętnie: – teraz wiem, że i myśl o śmierci nie jest ci obca.

Tak naprawdę to jej słowa: „jak mnie już nie będzie” rozrywają coś we mnie od środka. Tak samo, jak trzy lata temu po pierwszej diagnozie. Pamiętam jedną z pierwszych wizyt. Prudencja miała u siebie mój obrus. Sześciometrowy haftowany rarytas. Obrus używany był w domu mego dzieciństwa podczas różnych uroczystości. I na Wielkanoc. Nakrywał wtedy długi stół ze świątecznym bufetem.

Prudencja miała obrus wykrochmalić, wymaglować, wypieścić jak trzeba. Porządnie – nie po macoszemu, tak jak ja. Tym samym przywrócić świetność pamiętce. Jak dziś, widzę tę scenę. Nagle przy pożegnaniu odwraca się na pięcie i ze słowami: „czekaj, czekaj”, znika w głębi domu... Po chwili wraca z moim obrusem na wyciągniętych rękach.

Jakby miała złożyć go w ofierze. Potem, podając mi, mówi szybko, w pośpiechu potykając się o słowa.

– Masz tu, proszę. Jest gotowy. Nie chcę zapomnieć go w szafie, bo potem, jak mnie już nie będzie, nikt go nie znajdzie.

„Potem... Ja już nigdy cię nie zobaczę. Nigdy do ciebie nie zadzwonię...” – myślę. Ból tych słów trudno opisać. Od tej chwili minęły trzy lata. Prudencja nadal żyje.

Teraz mówi:

– Naturalnie, że myślę o śmierci. Ale, Malina, tylko z tobą mogę tak otwarcie o tym mówić. Ty jesteś jak rodzina. Czasem więcej. Mówiłam ci o Izabeli. Ta, która czytała twoje tłumaczenie Kübler-Ross¹. Ona też się na tym rozumie i umie okazać tyle empatii...

¹ E. Kübler-Ross, *Życiodajna śmierć. O życiu, śmierci i życiu po śmierci*, przeł. E. Stahre-Godycka, Księgarnia Św. Wojciecha, Poznań 1996.

– A jak? – dociekam. Instrukcja Obsługi Prudencji jest bezcenna.

– Ona umie słuchać. Być obecna...

„To wielka sztuka – myśleć. – Słuchać, nie zaśmiecając zwierzeń uwagami: «rozumiem dokładnie, jak czujesz... », albo: «mnie zdarzyło się też to samo», albo: «inni mają jeszcze gorzej...», albo: «no cóż, życie idzie dalej...». Teraz wiem, czego się wystrzeżać. Ale czy potrafię?». W tym samym momencie wypalam coś o nieśmiertelności. Potem przechodzę do kazania na temat wiary w Zmartwychwstanie.

Że obie mamy przed sobą ogniową próbę ufności Bogu...

Jak to „jej” Tischner napisał, że gdyby nie grzech pierworodny – to wychodzilibyśmy z pogrzebu jak z dworca. Ot, odprowadziliśmy kogoś i już... Wiedzielibyśmy, że się niebawem zobaczymy... Nie byłoby tej tragedii. Przypuszczam, że mówiąc to, sama szukam pociechy.

Telefon wieczorem tego samego dnia

Tego wieczoru Prudencja jest wyjątkowo małowówna. A tymczasem we mnie rośnie pragnienie, by mówić do niej bez „wewnętrznej cenzury”. Jak za dawnych czasów. Ale ostatnio mam się na baczności. Po prostu nie chcę jej rozeźlić czy zasmucić i tym

samym „dolać oliwy do ognia”. Dodać cierpień. Ale dziś nie potrafię się opanować:

– Nie cierpię tej twojej głupiej śpiewki: „jest jak jest”! *Panta rei!* Nie rozumiesz?! I jak słyszę, że mówisz o chorobie, jakbyś mówiła o smażonej kaszy, to mnie się robi niedobrze.

Przez chwilę jest cicho w słuchawce, a potem Prudencja wybucha głośnym śmiechem:

– Malina!! Uwielbiam smażoną kaszę! – mówi – Jeszcze z dzieciństwa. Ale ty tego nie mogłaś wiedzieć! Smażona kasza jest pyszna i mieliśmy ją często w domu!

8 października

Buki wysyłają w świat jesienne liście. Liście wirują wokół nas, jakby chciały podsłuchać, co mówimy. Szemrzący potok podąża za nami – też jest ciekawy.

A sroki wręcz narzucają swoje towarzystwo. Prudencja jest wzruszona:

– Nie wyobrażasz sobie, ile ludzkiego ciepła i dobra ostatnio doświadczam! Wszędzie czuję tyle życzliwości. Tyle serca. Wczoraj mój lekarz usiadł przy łóżku i trzymał mnie za rękę. A potem opowiadał, jak pojedzie do Polski. Jak się nią zachwyca. Jak będzie się „opychać” polskimi kiełbasami! On jest taki ciepły, otwarty, odważny!

Prudencja jaśniała. Jak zawsze, kiedy opowiadała o wszelakich oznakach czułości. A teraz wręcz w nie opływa.

– O czym myślisz przed zaśnięciem? – pytam, aczkolwiek intymność pytania całkowicie usprawiedliwiłaby brak odpowiedzi.

– O niczym. Czytam. Słucham książek albo zasypiam natychmiast. Dziś rano byłam na Mszy o ósmej.

– O ósmej?! Miałaś siłę?

– Nie miałam. Jestem słabsza i słabsza. Nawet łóżek dziś nie zasnęłam. Ale jakoś się zebrałam.

– No proszę! Ty się zbierasz rano, mimo że masz raka. A może dlatego? A ja, okaz zdrowia, jestem „zmęczona”.

– Ale, Malina! – Prudencja ze zdziwienia aż przystanęła. – Ja latam na Msze, bo to mój interes! Sakrament! Nie rozumiesz? Tylko łaska może zstąpić w najgłębsze otchłanie niepokoju... Próbuję wstawać o wpół do siódmej co rano. Ale ty przecież zawsze byłaś śpiącą królową.

Chwilę bawiłyśmy się moim kosztem. Prudencja znała moje marzenie z dzieciństwa – aby łóżko (ze mną pod kołdrą) szło samo do szkoły. A w razie deszczu miało baldachim.

Życie Prudencji wrze od telefonów. Usypane jest widokówkami i listami. Pachnie różami, gwoździ-

kami, liliami. Wypełniają je dowody oddania. Tanie i drogie. Książki i płyty. Perfumy i kaszmiry... Moja aksamitna różowa świnka stoi też na półce koło łóżka. Prudencja ma zawsze masę do opowiadania:

– Malina, wiesz, kogo słyszałam wczoraj w radiu? Nie uwierzyłybyś! To był X! Zrobił się teraz bogaty jak Krezus! Reporter zachwycał się jego przedsiębiorczością.

„O, pan to gwóźdź znajdzie na drodze i potrafi zrobić z niego użytek”. To faktycznie talent. X zrobił się panem na włościach. Ale panem bez serca. Był taki z siebie dumny, gdy mówił o tym, że wyrzucił kogoś z pracy – za bagatelę. Że sam dla siebie jest najwyższym autorytetem! Pomyśl – w tym wieku i taki niedojrzały... Włosy dęba stają!

Choć właściwie to się nie dziwię. Opowiadał też, jak całe życie gonił. I wtedy rozumiem, że samego siebie przeoczył. – Prudencja mówi szybko, intensywnie. Ale nagle cichnie. Ten intensywny wywód bardzo ją męczy. Dopiero po chwili dodaje cicho, w zamyśleniu:

– Wydaje mi się, że zaczynam patrzeć inaczej na wiele spraw...

– Wierzę ci... Jesteś przecież w drodze do...

– Co ty za bzdury wygadujesz! – wybuchła P. – Nie jestem w żadnej „drodze do”. Stoję u końca

drogi! Nie pojmujesz? Ja nie mam czasu tym razem! Ja widzę wszystko inaczej. Nie tak, jak w zeszłym roku, albo dwa lata temu. Jak się dowiedziałam, że jestem zdrowa. I miałam nadzieję, że koszmar się skończy!

Prudencja, mówiąc to, uniosła w górę ręce, szeroko, jak do błagalnej modlitwy.

– Dobrze pamiętam, jak od razu wymościłam sobie na nowo wygodny kąt w życiu...

– Bez tych wielkich i odwiecznych pytań... – dokończyłam.

– Jakbyś zgadła! Właśnie! Wiesz, co Gunnar powiedział niedawno? Gdyby nie moja wiara, to pewnie byśmy wszyscy zwariowali. To mi dużo mówi. Prudencja patrzy na mnie długą chwilę.

– I wiesz co? – dodaje zagadkowo. – Spowiedź daje mi więcej niż psycholodzy. Oni mogą tylko doprowadzić duszę do progu wnętrza człowieka, ale działać w tym wnętrzu może tylko łaska...

– Może i tak... A w ogóle to jesteś Oknem Wystawowym Pana Boga. Dwa razy już wróciłaś spod szafotu. Powiedz mi, kochana, co myślisz, kiedy masz te okropne bóle albo kiedy cię mdli i jesteś całkiem sama?

– Nic nie myślę! Już ci to przecież mówiłam... – A potem dodaje z naciskiem – Nie wypuszczam się

na za głębokie wody. Wiesz, co mi się wczoraj zdarzyło?

Jakaś pobożna babina dzwoni do mnie i mówi: „Bóg to musi panią bardzo, bardzo kochać, bo zsyła na panią tyle cierpień”. Słyszałaś coś podobnego? Czego to ludzie nie wymyślą, że Bóg zsyła cierpienia! Albo że zdrowych kocha mniej! A zresztą, każdy jakoś cierpi. Tak albo siak... Ale nikt nie dźwiga więcej, niż może udźwignąć, no nie?

Boże, zachowaj od tych, co cierpią przed telewizją na kanapie, bo świat taki okrutny, a sami nic nie robią.

10 października

– Wczoraj o mało się nie udusiłam. Nie mogłam złapać powietrza. Pewnie to drugie płuco też mi powoli wysiada. Przez ten kortyzon zrobiłam się gruba jak beczka. Aha! Musisz przeczytać Tischnera *Przekonać Pana Boga*. Musisz! – Prudencja ma zmęczony głos.

– Wiesz, zrobiłam pyszną pieczeń. Mogę ci jutro przywieźć trochę? – pytam. Mimo składanych sobie solennych przyrzeczeń, że muszę dać spokój z ofertami, by coś ugotować. Prawdopodobnie krzątanina w kuchni jest dla P. najlepszą z możliwych terapii. A może jest jedynym wysiłkiem, któremu da radę

teraz sprostać. Ale dziś miała taki słaby głos... Taka była zmęczona... I to drugie płuco, więc myślałam, że mogę pomóc...

– Aaaabsolutnie nie!! – słyszę lodowaty ton. – Nie potrzebuję twojej pomocy. A zresztą, mam już gotową zupę. Do widzenia.

A niech to diabli...

11 października

Jak zwykle, pukając do willi Prudencji, używam wielkiej kołatki. Elektryczny dzwonek wydaje mi się jej ubogim krewnym bez polotu i stylu. Stuk kołatki jest też dla Prudencji nieomylnym znakiem, że to właśnie ja stoję przed drzwiami.

Prudencja otwiera drzwi, rzucając komendę:

– Tylko żadnych prezentów! – Wyciąga przy tym ręce, jakby chciała „odgrodzić się” od ewentualnych darów. Z zaskoczenia cofam się o krok. Na szczęście nic nie mam ze sobą.

Po chwili Prudencja, Gunnar i ja jemy pyszny krupnik. Mówimy o kotach, psach i o świnkach morskich. Rak nie istnieje. Rozmowa, przynajmniej dla mnie, należy do trudnych. Potem Gunnar zniknął. Zostajemy same. Prudencja ze łzami w oczach mówi: